

ROCKSTAR



BŁAŻEJ WILCZYŃSKI

Rozdział 1

„Początki podobno są najlepsze, ale chyba tylko z dziewczynami”

Padał rzęsy deszcz, ale nie za bardzo się tym przejmowałem. Moje ubranie i tak nie miało prawie żadnego suchego kawałka. Był szósty grudnia, więc można by chociaż nieśmiało liczyć na jakiś pierwszy śnieg, który nieśmiało wprowadzałby świąteczny klimat, a tak pozostało mi tylko kląć na to grudniowe przedłużenie listopada. Moja mama zwykła mawiać, że grudzień to miesiąc największych niespodzianek...

Tak, urodziłem się w grudniu. W dodatku dokładnie trzydzieści lat temu. Z tego powodu przed dwudziestoma dwoma godzinami specjalnie wyłączyłem telefon, żeby nie odbierać tych ironicznych życzeń typu ‘Szczęśliwej trzydziestki’. Mogę się założyć, że tym razem napisało do mnie o połowę więcej osób, niż to miało miejsce rok temu, bo ludzie naprawdę lubią ci przypominać o twoich osobistych tragediach. Dobrze, że czterdziestka dopiero za 10 lat. Wtedy chyba naprawdę wyłączę telefon na tydzień przed, bo z czasem znajomi robią się coraz bardziej przebiegli.

Kiedy w końcu dobiegłem do przystanku autobusowego, wyciągnąłem moją gitarę akustyczną z pokrowca, który tak jak moje ubranie, można było opisać trzema słowami: ‘Niemał stuprocentowa wilgotność’. Kurde. Czy nie takimi słowami określa się pierwszy wyjazd nastolatków pod namiot?

Wykręciłem przemoczony pokrowiec jak najmocniej umiałem i z powrotem włożyłem do niego gitarę, która na szczęście miała z jakieś piętnaście lat i zdążyła przeżyć już tyle, że taki nie do końca ciepły i taki nie do końca letni deszcz, działał na nią niczym oczyszczająco-wygładzający kremik.

Zabawne. Kiedy w wieku czternastu lat zaczynałem się uczyć grać na gitarze, nie mogłem nawet podejrzewać, że ten instrument będzie moim jedynym źródłem utrzymania w wieku trzydziestu lat. Oczywiście nie jestem gwiazdą rocka. Po prostu uczę grać dzieciaki, które też chcą zostać gwiazdami rocka, także chyba powinienem zacząć uczyć też siebie, bo oczywiście też chcę zostać.... gwiazdą rocka. Grałem nawet w kilku kapelach, ale kiedy zaczęła się robić z tego poważniejsza sprawa, ktoś nagle stwierdzał, że mu bardzo przykro, ale że praca, albo że za niedługo się żeni i nie ma czasu na granie. No tak. Gwiazda rocka + praca + żona to bardzo nielogiczne połączenie. Lecz niestety prawda jest taka, że większość amatorskich muzyków po prostu wyrasta z marzenia zwanego ‘Rockstar’ i zaczyna zajmować się normalnym życiem, ale chyba u mnie ta cecha całkowicie zanikła.

Nawet mi samemu trudno uwierzyć, że wszystko wyglądało całkowicie inaczej jeszcze jakieś pięć miesięcy temu. Przez dziesięć lat pracowałem w agencji reklamowej należącej do ojca mojej dziewczyny. To znaczy aktualnie mojej byłej

dziewczyny. A jeśli ktoś nie wie, jaka jest różnica pomiędzy wspaniałym szefem, a beznadziejnym szefem, to już tłumaczę, że jest dokładnie taka sama jak między dziewczyną, a byłą dziewczyną. Szef oprócz oczywistej zmiany nastawienia, również staje się byłą.

Tym samym stałem się bezrobotny i rzucony przez dziewczynę, z którą byłem jedenaście lat. Niektórzy ludzie nazywają taką sytuację życiowym zakrętem lub jeszcze jakimś innym bardziej depresyjnym stwierdzeniem. Ci sami ludzie wyjeżdżają wtedy na przykład do Indii aby, jak to twierdzą, zdefiniować siebie od nowa. Czasem też wstępują do klasztoru, czasem zaczynają pić, albo brać mniej lub bardziej dozwolone środki. Albo może robią to wszystko naraz.

Ja wybrałem trochę inną ścieżkę własnej reaktywacji, a mianowicie zacząłem studiować architekturę i zamieszkałem w akademiku, co zmusiło mnie do wyprowadzki z mojego rodzinnego miasta. Nie było to jednak aż takie straszne, bo podobno w czasie życiowych zakrętów nic tak nie pomaga, jak całkowita zmiana otoczenia.

Nie mogę jednak zaprzeczyć, że w ogóle nie obawiałem się skutków swojej decyzji. Rozpocząć studia i zamieszkać w akademiku w wieku trzydziestu lat, to niemal to samo, jak skończyć osiemnastkę i na drugi dzień zapisać się do przedszkolnej grupy starszaków. Jednak w czasach, gdy moi rówieśnicy szli na studia, moja głowa była wypełniona słowem 'Rockstar' (w sumie jest nadal), a teraz, kiedy moi rówieśnicy zakładają rodziny, postanowiłem nadrobić swoje naukowe zaległości. Naprawdę kocham swoje mentalne, dziesięcioletnie opóźnienie. Lecz z drugiej strony studia nie wydawały mi się wtedy potrzebne, bo trzeba odpowiedzieć sobie na jedno bardzo ważne pytanie. Po co idzie się na studia? Według mnie istnieją trzy powody. Pierwszy i bardzo oklepany to ten, że studia mają zapewnić później dobrą pracę. Drugi, jeszcze bardziej oklepany to taki, że na studiach trzeba zaimprezować za resztę życia, zupełnie jakby w momencie ukończenia uczelni dostawało się pierwszą zniżkę na swoją własną trumnę. Zapomniałem dodać, że punkt numer dwa należy pomnożyć razy trzy. Trzeci i ostatni powód jest taki, że na studiach należy znaleźć dziewczynę. Ten punkt niektórzy mnożą razy dwadzieścia, a niektórzy razy zero. W tym przypadku nie ma żadnej reguły.

Jak już wspominałem, w wieku w którym należy iść na studia, miałem nie tylko dziewczynę, ale i dogadaną pracę u jej ojca. Imprez też nie brakowało, a nieramowy czas pracy w agencji reklamowej był tutaj tylko atutem. Także w tamtym czasie wydawało mi się, że studia przeszkadzają mi tylko i w 'karierze' muzycznej i w karierze w pracy, ale jak się później okazało, odnośnie tej muzycznej 'kariery', nie za bardzo miały czemu przeszkadzać.

Spojrzałem na zegarek. Była 22:15 i już miałem zakląć na spóźniający się autobus. Ten pojawił się jednak w oddali, zupełnie jakby na moje osobiste zawołanie.

- Mam nadzieję, że nie wyczerpałem limitu urodzinowych życzeń na dzisiaj. – powiedziałem cicho do siebie, wchodząc do środka.

Wewnątrz autobusu nie było dużo osób. Właściwie znajdowały się tam tylko dwie dziewczyny, które na moje oko miały jakieś piętnaście lat. Ich ubiór mocno

wskazywał, że są ofiarami niemożliwego połączenia – modowych wskazówek z instagrama oraz budżetu własnego kieszonkowego. To nigdy się nie udaje.

Usiadłem blisko nich i z nudów zacząłem się przysłuchiwać prowadzonej rozmowie. Chuda blondynka trochę zbyt głośno opowiadała swojej jeszcze chudszej koleżance najnowsze szkolne plotki. Po chwili jej głos wszedł na jeszcze wyższe rejestry i z niesamowicie rozbudowaną gestykulacją rąk mówiła, że Tomek i Ala od tygodnia się całują i chodzą za ręce, ale, jak to zaznaczyła całkowitą zmianą intonacji, nie są ze sobą. Mimowolnie się uśmiechnąłem.

- Później ludzie robią ze sobą dużo gorsze rzeczy i też nie są razem. – pomyślałem, a niewinny i szyderczy uśmieszek nie schodził z mojej twarzy przez dłuższą chwilę.

Nastolatka cały czas kontynuowała swoje szkolno-miłosne rewelacje. Tym razem nie mogła zrozumieć, dlaczego Paulina nie zerwała z Damianem, skoro odwiedził swoją byłą i pożyczył jej zeszyty z matematyki. Naprawdę nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem donośnym śmiechem, co nie uszło uwadze dziewczyn, które przez moment wpatrywały się we mnie zmrużonymi oczyma. Odwzajemniłem uśmiech, wciąż podtrzymując swoje zdanie z odrobiną zmienioną końcówką. Później ludzie robią dużo gorsze rzeczy i wciąż są ze sobą.

Dziewczyny wysiadły dwa przystanki przed moim, a gdy drzwi od autobusu zamknęły się, jedna z nich uroczyście pożegnała mnie środkowym palcem. Kolejny raz odwzajemniłem uśmiech, lecz dodatkowo poczułem się strasznie staro. Już prawie zapomniałem czasy, kiedy w ten sam sposób rozwiązywałem problemy z przemądrzałymi dorosłymi.

W czasie, który pozostał do mojego przystanku, włączyłem telefon i słuchałem odgłosów nadejścia kolejnych wiadomości tekstowych. Gdy mój Samsung w końcu zamilkł, stwierdziłem, że naprawdę kocham funkcję „Usuń całą skrzynkę odbiorczą”.

Przeszedłem przez w połowie oszklone drzwi, a następnie machnąłem ręką do portiera, którym dzisiaj był Królik. Był on grubo po pięćdziesiątce i miał fryzurę na starego fana punk-rocka, czyli zbytnio wygolone boki i za bardzo zostawiona góra. Klasyczny mullet lub jak kto woli – czeski piłkarz. W oczy rzucała się też jego nadwaga, czego odzwierciedleniem był ogromny brzuch, który tym razem był całkiem nieźle ukryty pod biurkiem. Jego przezwisko „Królik” było dosyć przewrotne, ponieważ wzięło się od tego, że użębienie Królika nie zawierało dwóch górnych jedynek. Legenda głosi, że było to spowodowane otwieraniem browarów. Nie mam pojęcia czemu, ale jestem w stanie w to uwierzyć.

Po dwóch miesiącach mieszkania w akademiku, wszyscy portierzy mniej więcej mnie kojarzyli, więc nie musiałem już za każdym razem pokazywać karty mieszkańca. Królik uniósł tylko wzrok i ignorując moje machnięcie, nacisnął przycisk, otwierając drugie drzwi. Najwyraźniej nie miał dzisiaj humoru, co może było spowodowane brakiem wymarzonego prezentu od św. Mikołaja. Sam nie wiem.

Przecież moje dzisiejsze Mikołajki też aktualnie wygrywały konkurs na „Najgorsze Mikołajki w roku”.

Ruszyłem schodami ku górze, ale zatrzymałem się i usiadłem na półpiętrze między pierwszą, a drugą kondygnacją. Nie chciałem jeszcze iść do pokoju, bo musiałem w godny sposób rozpocząć swoje małe, urodzinowe świętowanie. Wyciągnąłem z wilgotnej kieszeni kurtki trzy bułki cebulowo-czosnkowe. Nie mam pojęcia czemu, ale naprawdę kocham bułki cebulowo-czosnkowe i od ponad dziesięciu lat szczerze marzyłem, żeby zjeść je we własne urodziny. Było to jednak trochę skomplikowane, ponieważ od ponad dziesięciu lat spędzałem je ze swoją dziewczyną, a ten rodzaj bułek był według niej na samym szczycie listy z serii urodzinowych produktów zakazanych.

Trzy kęsy później mocno chuchnąłem i upewniło mnie to w przekonaniu, że przez najbliższe cztery godziny jestem odporny i na wampiry i na dziewczyny. Nie wiedziałem tylko, na co bardziej.

Po pochłonięciu wszystkich bułek poczułem dziwne ukłucie w brzuchu. Ale nie było to ukłucie spowodowane połączeniem czosnku i cebuli. Raczej takie, które mam zawsze, gdy nie wiem dokładnie co mam dalej robić. Nawet najlepsza wróżka w mieście gdyby mnie zobaczyła, powiedziała by, że w swojej wróżbiarskiej kuli widzi jedynie pomroczność cieniastą. I byłaby to najlepsza, możliwa przepowiednia. Po chwili przypomniałem sobie, że jak byłem mały i przeżywałem jedną z tragedii ery podstawówki, moja mama przychodziła do mnie do pokoju i mówiła, żebym położył rękę po lewej stronie klatki piersiowej. Następnie pytała, czy słyszę jak bije mi serce. Po moim skinięciu głową, dodawała, że to dlatego, bo mam jeszcze dużo wielkich rzeczy do zrobienia. Może to banalne, ale zawsze mi to pomagało.

Teraz, kilkanaście lat później też położyłem rękę po lewej stronie i po chwili wyczułem trochę zbyt szybkie bicie serca, spowodowane pewnie lekkim nadciśnieniem, wynikającym z mojego trochę zbyt intensywnego temperamentu i kilku zbyt tanich piw w ostatnim tygodniu. Wciąż trzymając rękę w tej samej pozycji, zamknąłem oczy i powiedziałem:

- Trzymaj się, bo mamy kilka naprawdę wielkich rzeczy do zrobienia.

Duży plakat z siedzącym Kurtem Cobainem, który zaciąga się papierosem, prawie zakrywał numer mojego pokoju - 319. Minęły już dwa miesiące, a ja wciąż do końca nie przyzwyczałem się ani do tych drzwi, ani do samego pokoju. Po dziesięciu latach mieszkania w jednym miejscu, przeprowadzka do akademika sprawiła, że czułem się jakbym codziennie budził się w innym świecie. Mało osób zdaje sobie z tego sprawę, ale o tym czy dane miejsce wydaje nam się znajome, nie decydują wcale meble, dekoracje i tego typu sprawy, ale zapachy. Czasami nawet nie można stwierdzić czy dany pokój ma jakiś zapach, ale na szczęście lub może na nieszczęście, zawsze go ma. Z tego powodu całkowite zaaklimatyzowanie w akademiku bywa takie trudne, ponieważ występuje tutaj niemal zapach

na zapachu, a połączenie zapachu (odoru?) średnio drogich perfum, zepsutej szynki i końcówki czosnkowego sosu do pizzy pachnie naprawdę bardzo uroczo. Oczywiście to tylko bardzo delikatny przykład z wielu nieskończenie możliwych bukietów zapachowych akademika. I słowo bukiet jest chyba tutaj całkowicie nie na miejscu.

Szybko nacisnąłem klamkę i po chwili znalazłem się we wnętrzu pokoju, ale zdziwiło mnie, że w środku było zupełnie ciemno. Trzeba pamiętać, że w akademiku jest tylko jedna sytuacja, kiedy jest całkowicie ciemno: nie ma prądu. Naprawdę nie wiem czemu, ale zawsze istnieje choćby najmniejsze źródło światła, lecz jak to mówią: „najciemniej jest przed samym świtem”, a w tym przypadku można było powiedzieć, że „najciemniej (i najciszej) jest przed samą imprezą”. Kiedy zacząłem kierować swoją ręką do włącznika, ktoś mnie ubiegł, a tym kimś był Tołdi.

- Niespodzianka Miki. - krzyknął. – Właśnie zaczynamy twoją urodzinową imprezkę sponsorowaną przez centralny oddział domu starców. Nowa seria imprez pod nazwą „Swoi dla swoich”.

Mimowolnie się uśmiechnąłem, a następnie rozejrzałem po pokoju, lecz było to dosyć trudne z powodu zbyt dużej liczby osób, jak na miejsce o powierzchni 15 metrów kwadratowych. Jedno krótkie pytanie. Boże jak stwarzałeś świat, nie mogłeś ustanowić powierzchni standardowego pokoju studenckiego na 100 metrów? Skąd mam mieć pewność, że w Niebie będzie lepiej?

Nie miałem jednak zbyt dużo czasu na rozmyślanie o wyposażeniu hotelowym Nieba, ponieważ natychmiast doskoczył do mnie Tołdi, trzymając w ręku butelkę wina z doczepioną do niej wielką kokardą.

- Drogi staruszkule Miki. Chcielibyśmy ci wszyscy tutaj zgromadzeni życzyć, żeby kolejny rok twojego życia był tak niesamowity, żeby sam Szatan chciałby cię po nim adoptować.

Mój błąd. Powinienem się raczej zorientować co do wyposażenia hotelowego Piekła. Jednak znowu nie miałem zbyt dużo czasu na rozmyślanie, ponieważ momentalnie wszyscy zaczęli wrzeszczeć tak głośno, że przez chwilę poczułem się jak gwiazda rocka po ostatnim bisie na stadionie Wembley. Ta szczęśliwa chwila została niestety przerwana przez podniesioną rękę Tołdiego, który chciał zapewne coś dodać do swoich skąpych, ale jakże wymownych życzeń.

- Tutaj mam skromny prezencik od wszystkich. – zaczął Tołdi, naprzemiennie patrząc to na butelkę, a to na mnie. – Od razu chciałbym zaznaczyć, że wino miało być trzydziestoletnie, ale wiemy jak bardzo nie lubisz tej liczby, dlatego wybraliśmy nieskażony czasem rocznik bieżący. – powiedział, zbyt mocno akcentując słowo „bieżący” albo może „nieskażony czasem”, po czym szeroko się uśmiechnął.

Tołdi był studentem trzeciego roku architektury i jak każdy normalny student miał bardziej 20 niż 30 lat. Jego ksywa Tołdi, prawdopodobnie wzięta się od małego zielonego Ogra z bajki o Gumisiach i pochodziła podobno z czasów pierwszej liceum, kiedy Tołdi był najniższy z chłopaków w całej szkole, mając niecałe 165 cm wzrostu. Wszystko zmieniło się jednak w czasie wakacji, kiedy Tołdi urosł 20 cm. Można powiedzieć, że jego hormon wzrostu wziął bardzo długie przedłużenie sesji,

ale kiedy osiągnął te swoje wymarzone 185 cm, jego akcje na giełdzie kobiecej wyobraźni nabrały na wartości. Wygląd Tołdiego reprezentował typ urody zwany - chłopak z sąsiedztwa. Półdługie kręcone włosy i duże oczy mogły go nawet zaprowadzić na opakowanie płatków śniadaniowych, a nieschodzący z twarzy szeroki uśmiech wzbudzał bardziej pożądanie matek, zamiast córek, które w czasach liceum zazwyczaj bardziej wolą tych złych, niż dobrych chłopców. Jednak na studiach wygląd na chłopaka z opakowania płatków śniadaniowych jest dużo bardziej pożądany. Zupełnie jakby dziewczyny były już w stanie sobie wyobrazić swoje przyszłe dzieci pochłaniające te płatki przed wyjściem do szkoły. Dlatego aktualnie Tołdi był w drużynie wybierających, a nie wybieranych, bo gdybym ja sam był kobietą, też chciałbym się umówić z gwiazdą płatków śniadaniowych.

Patrząc na wszystkich, którzy znajdowali się w pokoju, pomyślałem, że w tej sytuacji mogę zrobić tylko jedną rzecz. Podniosłem do ust otwarte w międzyczasie przez Tołdiego wino i wziąłem dużego łyka. Jednak cały czas panowała dziwna i niezręczna cisza, jakby wszyscy czekali, na jakieś magiczne zaklęcie.

- No to zaczynamy. – powiedziałem i do 5 rano zapomniałem, że coś takiego jak cisza, w ogóle istnieje.

Trzeci raz w ciągu dziesięciu minut otworzyłem drzwi do pokoju, lecz tym razem bez żadnych przeszkód mogłem położyć się na łóżku.

- Jestem z ciebie taki dumny Miki. – rzekł Tołdi, zmieniając właśnie pozycję z leżenia na brzuchu, na leżenie na plecach.

- Naprawdę? – spytałem i biorąc z niego przykład, też wybrałem pozycję leżenia na plecach.

- Odprowadziłeś wszystkie trzy nie do końca żywe osoby do swoich pokoi. Masz naprawdę największe złote serduszko jakie znam.

- Jutro zgłosimy cię do pokojowej nagrody Nobla. – wtrącił bełkotliwie Profesor, który nie wiadomo czemu siedział pod stołem i starał się właśnie otworzyć ostatnie pozostałe piwo.

- Profesor, po co ty siedzisz pod tym stołem? - spytałem, lekko przekręcając się na łóżku, żeby zobaczyć jego nierówną walkę z kapslem na oszronionej butelce Prazubra niepasteryzowanego. Właśnie. Chyba jeszcze nie wspominałem, że kilka dni temu udało mi się załatwić wielką lodówkę - zamrażarkę, która teraz zajmowała bardzo zaszczytne miejsce w naszym pokoju. I dzielnie mroziła piwo oraz inne trunki.

- Chcę tu spędzić resztę życia. Tutaj jest tak bezpiecznie. – odpowiedział jeszcze bardziej bełkotliwie Profesor.

- Weź go zostaw Miki. – powiedział lekko podniesionym głosem Tołdi. – On nawet nie będzie tego później pamiętać.

- Takie stwierdzenia kuszą mnie do robienia złych rzeczy.

- Jasne. Powiedz mi, co można Profesorowi zrobić złego, żeby tobie sprawiło to jakąkolwiek przyjemność.

- Masz rację. – westchnąłem.

Profesor był na przedostatnim roku informatyki, a naukowa ksywa była następstwem jego geniuszu lub obeerzenia zbyt wielu odcinków serialu „Dom z papieru”. Jego średnia oscylowała wokół maksymalnej, dlatego był brany za lekkiego dziwaka, ale organizowane przez Tołdiego imprezy nie mogły się odbyć bez jego wiedzy i obecności. Krótkimi słowy Profesor, mimo że naprawdę wiele czasu poświęcał na pisanie swoich komputerowych programów, wiedział, że reset nie oznacza tylko przycisku w komputerze. Jego wygląd też raczej nie przejawiał symptomów stereotypu informatyka. Ubierał się wyłącznie w sklepie internetowym Zalando, tłumacząc to tym, że oprócz naprawdę fajnych ciuchów, UX i UI ich strony internetowej to czysta poezja, a linijki kodu, w którym cała aplikacja została napisana, to miód na jego programistyczne serce. Nawet niedawno był na wykładzie zespołu programistów z Zalando i mogę postawić nawet kilka piwek, że po skończeniu studiów, jego CV i portfolio zostaną wysłane właśnie tam.

- Miki chcesz dostać drugą pokojową nagrodę Nobla? – zapytał nagle Tołdi.

- No co jest? - mruknąłem.

- W moim brzuchu toczy się wojna pomiędzy piwem, a whisky i pokój na froncie mogą zapewnić tylko gorące frytki przyrządzone przez dzisiejszego solenizanta.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu. Była 5:15.

- Od ponad pięciu godzin nie jestem już solenizantem.

Tołdi tylko się uśmiechnął.

- Zawsze tak się czepiasz szczegółów? Mało dziwne, że dziewczyna rzuciła tak upierdliwego trzydziestolatka.

- Wtedy miałem dwadzieścia dziewięć.

- Wydaje mi się jednak, że mogła przeczuwać, że będziesz mieć te trzydzieści.

- Tak. Przeżywałem ją Nostradamus.

- Nostradamus by przewidział, że zerwie z kimś za 11 lat, więc nawet by nie zaczynał.

- Naprawdę kocham cię Tołdi za takie miłe słówka.

- A ja ciebie nie. Ale może zmienię zdanie za talerz gorących i skwierczących od oleju frytek.

- Dobra. Wygrałeś, bo przez twoje gadanie też trochę zgłodniałem. Zaraz to ogarnę.

- Miki?

- Co?

- Chyba cię kocham. – powiedział Tołdi, a następnie zaniósł się głośnym śmiechem. – Ale nie mów nikomu. Będziemy taką wirtualną parką.

- Czyli nici z przedstawiania rodzicom?

- Takiego starucha?

Tym razem ja też się roześmiałem i powoli zacząłem zwlekać się z łóżka, co było dość utrudnione przez mój stan, który mógłbym nazwać początkową fazą trzeźwienia, a jak powszechnie wiadomo początki są najlepsze, ale tylko z dziewczynami. Obracając powoli głowę, rozejrzałem się po pokoju szukając jakichś większych zniszczeń. Na szczęście wszystko wyglądało na typowy bałagan poimprezowy. Wszędzie porzucane butelki, pogaszone papierosy w dziwnych miejscach i strasznie brudna podłoga. Wszystko było aż tak normalne, że nawet trochę mnie uspokoiło. Przed otwarciem lodówki, musiałem jeszcze przetransportować Profesora spod stołu do jego łóżka. Czy tylko mi przypomina zadanie z fizyki zaczynające się od zdania - „załóżmy, że siła grawitacji jest dziesięć razy większa”?

Złapałem Profesora za lewą rękę, bo prawa dalej mocno ścisnęła butelkę z połową złoto-płynnej zawartości, mimo że on sam już całkiem mocno spał. Nabyte odruchy są naprawdę nieprzewidywalne. Kiedy udało mi się go w końcu wypchnąć spod stołu, nagle otworzył oczy i powiedział:

- Miki, moja głowa już czuje zbliżającego się kaca.

- Nostradamus II się kurde znalazł. Twoja głowa jest teraz bardziej znieczulona niż pacjent pod narkozą. – odpowiedziałem, próbując postawić go na nogi, lecz nie można tak łatwo oszukać grawitacji. Na szczęście po chwilowej szamotaninie udało mi się położyć Profesora na łóżku w pozycji, która w lekkim stopniu przypominała pozycję boczną ustaloną. Wyciągnąłem jeszcze piwo z jego zaciśniętej dłoni i w kilka sekund dopiłem je do końca.

- Opłata transportowa pobrana. – szepnąłem do siebie, a następnie powiedziałem Tołdiemu, że musi mi wytatuować na plecach logo DHL albo innej firmy kurierskiej z dodaną moją twarzą. Obaj z Tołdim zaczęliśmy śmiać się tak głośno, że nawet Profesor obudził się na chwilę i burknął coś w języku zbyt pijanych ludzi, czyli w prawdziwym Esperanto. Po chwili nasz pokój przeszło głośne burczenie brzucha Tołdiego.

- Mój brzuch chyba właśnie sobie o czymś przypominał. – rzekł, zmieniając swoją pozycję z leżącej na opierającą się o ścianę.

- Że jego właściciel jest krypto alkoholikiem?

- Bardzo śmieszne. W dodatku nieprawdziwe, bo jakoś szczególnie się z tym nie ukrywam. Ale żeby nie było niejasności Miki, to przypominam: fryteczki, fryteczki. - Tołdi niemal zanucił dwa ostatnie słowa.

- Żeby ci robił jedzenie w swoje własne urodziny. W dodatku trzydzieste.

- Z tego co pamiętam to nie jesteś już solenizantem.

- Ktoś coś wspominał o czepianiu się szczegółów?

- Twoja dziewczyna?

- Naprawdę jesteś zabawny.

- Nigdy nie jestem zabawny, jak jestem głodny.

- Słyszałeś o czymś takim jak tygodniowa głodówka? Było by tak....
zabawnie.

- Dobra Miki. Ja naprawdę nie chcę żebyś był szefem kuchni z Hilton Hotel, tylko żebyś odsmażył mi zamrożone frytki, które były najtańsze w pobliskiej Biedronce. Gdybyś miał dziewczynę i zrobił jej takie danie z okazji własnych urodzin, czy tam 5 godzin po własnych urodzinach, nawet nie chciała by z tobą gadać. A ja wiesz... będę cię za to uwielbiać.

Po krótkim namyśle przyznałem mu rację, a następnie ruszyłem w stronę lodówki, przedzierając się przez pole minowe stworzone z pustych butelek po piwie lub jakimś mocniejszym alkoholu. Po otwarciu lodówki, powitały mnie trzy gołe półki. Nie było to trudne do przewidzenia. Wszystko co było w jakikolwiek przydatne do spożycia, zostało przeznaczone na moją imprezę urodzinową. A dodając do tego fakt, że przez nasz pokój przewinęła się prawdziwa fala ludzi, nasza lodówka musiała dzisiaj polubić wolną przestrzeń pełną rześkiego powietrza. Jednak po otwarciu małej zamrażarki, która znajdowała się na samej górze, moim oczom ukazało się opakowanie, zawierające podobno 1 kilogram karbowanych frytek, chociaż według mnie te frytki nigdy nie widziały czegoś takiego jak 1 kilogram. Nie mogłem wybrzydzać, bo było to jedyne, aktualnie istniejące jedzenie w naszym pokoju.

Lekko drżącą ręką nalałem pół patelni oleju i wsypałem do niej tak dużo frytek, ile tylko mogło się w niej pomieścić.

- Wyczuwam małą, urodzinową delirkę. - powiedział z nieskrywanym uśmiechem Tołdi.

- Nie słyszałeś, że najlepszy olej to wstrząśnięty, niemieszany?

- Chyba trochę pomyliły ci się filmy. - Tołdi wybuchnął głośnym śmiechem. - Bardziej mi to przypomina - „szef akademikowej kuchni na trzecim piętrze poleca...”.

- „...tanie frytki prosto z pieca” - dokończyłem, wypowiadając to bardziej do siebie i czując lekkie zażenowanie z poziomu suchości tego żartu.

- Nurtuje mnie jeszcze jedna rzecz – rzekł tym razem z dziwną powagą Tołdi, jednocześnie prostując się na łóżku i całkowicie ignorując mój wcześniejszy słaby dowcip. - Czy ty przypadkiem nie wspominałeś ostatnio, że masz jutro, to znaczy dzisiaj, to znaczy za trzy i pół godziny kolokwium z mechaniki ogólnej.

- Chyba właśnie bardzo zwiększyłem limit mojego dziennego przeklinania. - odparłem niemal natychmiast, zastanawiając się po chwili, czy ja w ogóle mam jakikolwiek limit dziennego przeklinania. - Masz jakiś pomysł? - spytałem kilka sekund później, patrząc błagalnym wzrokiem na Tołdiego. Mógłbym dodać, że 3,5 godziny przed kolokwium na które się nic nie umie, wzrok każdego studenta właśnie tak wygląda.

- Idź wstaw te frytki i wróć tutaj. Ja już zdążę coś wymyślić. - odpowiedział Tołdi, jednocześnie szukając czegoś w swoim biurku.

- Wiesz, że jak je wstawię i od razu wrócę to mogą wyjść dość mocno przypalone?

- Jestem tak głodny, że naprawdę ciepły węgiel też będzie w porządku.

Tylko się roześmiałem i nie namyślając się zbyt długo, chwyciłem patelnię oraz frytki i cały czas uważając na walające się wszędzie butelki, wyszedłem

z pokoju. Korytarz z dwoma migającymi świetlówkami przypominał swoim klimatem obie części gry Max Payne, a ciągle trwająca noc oraz padający za oknem pierwszy śnieg tylko wzmacniał ten świąteczny efekt w stylu noir.

Kiedy spojrzałem w prawo, momentalnie poczułem na twarzy mroźny podmuch wczesnego grudniowego powietrza, co było spowodowane otwartymi na oścież drzwiami balkonowymi. Wietrzenie korytarza przy około -2 stopni Celsjusza może po pijaku wydawało się być genialnym pomysłem, jednak wraz z trzeźwieniem ten pomysł stawał się coraz mniej uroczy. Próbując jedną ręką zamknąć te nieszczerne drzwi balkonowe, bo w drugiej trzymałem patelnię, zdałem sobie sprawę, jak bardzo nie lubię zimy. Tak w ogóle każdej zimy wypominam mamie, czemu nie jest surferką z Kalifornii, która swojemu dziecku zamiast wózka kupuje deskorolkę, a zamiast trójkółowego rowerka, deskę do surfowania. Słyszałem, że w Kalifornii słowa „mama” jest dopiero trzecim, którego uczy się dziecko, zaraz po „dobre” i „fale”. Zwrot „Dobre fale, mama” to chyba najpiękniejsze pierwsze słowa, jakie może wypowiedzieć dzieciak, który dopiero co nauczył się mówić. Po chwili stwierdziłem, że jednak nie mam czasu na takie rozmyślenia i udałem się w kierunku kuchni, która była oddalona od naszego pokoju o jakieś 10 metrów. Gdy byłem już w środku, zorientowałem się, że mimo zgaszonego światła, ktoś się tutaj znajduje. Większy cień przy oknie oraz mała jasna kropeczka, wskazująca na palonego papierosa, powodowały, że nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, żeby stwierdzić, że ktoś urządza sobie tutaj nocne „gotuj z Batmanem”.

Po zapaleniu światła, postać stojąca przy oknie okazała się chłopakiem, mającym na oko 22 lata. Nagłe przejaśnienie spowodowało w nim przymusowe zmrużenie oczu, więc na zadanie jakiegokolwiek pytania pozostało trochę czasu. Na razie korzystałem z chwilowej przewagi, zanim jego oczy przyzwyczają się do ostrego światła i starałem przyjrzeć mu się trochę uważniej. Jego czarne włosy układające się w artystyczną fryzurę zespołów indie-rockowych w połączeniu z aż za bardzo przystojną twarzą i ciemną karnacją, gwarantowały mu dużo większą niż moja, skuteczność w spotkaniach na jedną noc.

Dopiero gdy całkowicie otworzył oczy i poprawił włosy wyuczonym ruchem ręki, zauważyłem, że poniżej swojego lewego oka oraz nad skronią, ma świeże ślady po uderzeniu. Zwłaszcza nad skronią nie wyglądało to zbyt dobrze, chociaż stwierdzenie „nad skronią” było zbyt dużym uogólnieniem. Rana rozpościerała się od prawej strony głowy, a kończyła się niemal na środku czoła. Wyglądało to, jakby ktoś z całej siły uderzył go nie tą stroną siekiery, lub może właśnie tą właściwą, bo chciał go tylko ogłuszyć. Czyż poranne spotkania w akademikowej kuchni nie bywają romantyczne?

Nie zamierzałem jednak patrzeć na poturbowanego nieznajomego jak Rose na Jacka w ostatniej scenie Titanica, więc postanowiłem przerwać tę niezręczną ciszę.

- Ciekawe miejsce i pora na regenerację. – zagadnąłem, jednocześnie ustawiając maksymalną moc na kuchence elektrycznej.

- Nie mam dzisiaj nastroju na rozmowy. – przemówił po dłuższej chwili nieznajomy, a tembr jego głosu nie do końca pasował do jego wyglądu. Wydawał się

być stanowczo za niski, a przypominało to niemal sytuację, gdy przed chwilą poznana piękna dziewczyna rzuca niewinne „cześć” głosem Leonarda Cohena.

Już chciałem powiedzieć, że siedzenie z rozwaloną jedną piątą twarzy o 5:30 w akademikowej kuchni i w dodatku przy zgaszonym świetle, faktycznie nie zachęca do rozmowy. Jednak nieznajomy ubiegł moje stwierdzenie, rzucając w moją stronę swój telefon, który szczęśliwie, lecz z małymi problemami udało mi się złapać. Spojrzałem na komórkę, która wyglądała na jeden z najnowszych modeli Samsunga i zacząłem obracać go w dłoniach.

- Przeczytaj ostatniego esemesa. – powiedział nagle nieznajomy, jednocześnie sięgając po kolejnego papierosa. Dopiero teraz zauważyłem, że ma on ubrane rękawiczki, co trochę mnie rozbawiło.

- Palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła? - rzekłem z szerokim uśmiechem.

- Jakbyś nie zauważył, jest tutaj trochę zimno. – odpowiedział, wskazując niezapalonym jeszcze papierosem na otwarte za sobą okno.

- Promile jednak trochę grzeją, więc nie od razu się zorientowałem. Zresztą tutaj nie ma takiego przeciągu jak na korytarzu. Tam by nawet te twoje rękawiczki nie pomogły.

- Dobra, przeczytaj tego ostatniego esemesa, to zrozumiesz czemu nie chce mi się gadać.

Już chciałem powiedzieć, że naprawdę bywa miłutki, ale w końcu porzuciłem ten pomysł, bo nie chciałem go już denerwować. Po chwili dotarłem do skrzynki odbiorczej i otworzyłem ostatnią wiadomość, której nadawczynią była niejaka Julia.

- „Przepraszam, że przez esemesa” – zacząłem czytać na głos. – „...Ale nie umiem powiedzieć ci tego w twarz. To koniec.”

Spojrzałem znowu na nieznajomego, którego mina mówiła teraz - „widzisz czemu nie mam nastroju na żadną rozmowę?”

- Ememesa mogła wysłać, w dodatku z jakimś filmikiem. – wypaliłem nagle i sądziłem, że może trochę przesadziłem z tym tekstem, bo był to naprawdę straszliwy suchar, lecz nieznajomy tym razem szeroko się uśmiechnął.

Wielu ludzi twierdzi, że pierwsze 5 minut przy poznawaniu nowego człowieka jest kluczowe w tym, jak będzie cię on postrzegał na dalszym etapie znajomości. Zazwyczaj nieznajomi są nastawieni do siebie neutralnie lub gdy rozmówcami są osoby przeciwnej płci i gdy jedna z nich jest piękną kobietą albo przystojnym mężczyzną, ten brzydszy rozmówca nastawiony jest aż nadto pozytywnie. Czasami zdarza się, że nieznajomymi osobami są równocześnie piękna kobieta i przystojny mężczyzna, lecz wtedy mają oni za nic te przysłowiowe 5 minut i już po dwóch minutach pada pytanie „U ciebie czy u mnie?”. Oczywiście tę ostatnią sytuację słyszałem tylko w legendarnych opowieściach akademikowców Adonisów. I w dodatku było to zawsze po kilku piwkach.

Moje spotkanie z nieznajomym w kuchni było specyficznym przypadkiem, gdzie byliśmy nastawieni do siebie dość negatywnie. Go rzuciła dziewczyna, mnie czekało kolokwium, na które nic nie umiałem. W dodatku po imprezie z okazji

trzydziestych urodzin. On siedział po ciemku w kuchni, żeby przemyśleć parę spraw, a ja się do niej wpadłem z gracją pijanego studenta, zapalając światło i trzymając w ręku patelnię wypełnioną karbowanymi frytkami, które pływały w tanim oleju. W sumie frytki też były tanie. Ale to najmniej ważne. Jak widać, byliśmy skazani na nie lubienie siebie nawzajem. W takich sytuacjach jedynym rozwiązaniem jest zdanie kotwica rzucone przez jednego z rozmówców, które rozładuje negatywne napięcie. W tym przypadku takim zdaniem był mój tekst o tym, że Julia powinna wysłać ememesa zamiast esemesa. I mimo że był to naprawdę szczerzły suchar, o dziwo zadziałał.

Uśmiech nieznajomego potraktowałem w ten sposób, że w końcu mogliśmy przejść na „ty”.

- Mikołaj. Ale większość mówi na mnie Miki. – powiedziałem, wyciągając rękę w jego kierunku.

- Krystian. – odpowiedział już nie nieznajomy, odwzajemniając uścisk dłoni.

- Powiedz mi w takim razie Krystian, co ty o tej godzinie robisz w akademiku w takim stanie. – zapytałem, wskazując palcem na ranę na głowie. – W ogóle chyba tutaj nie mieszkasz, bo jakoś nigdy wcześniej cię nie widziałem.

Oczywiście nie musiało to oznaczać niczego szczególnego. Każdego dnia, a tym bardziej nocy można było się tu natknąć na osoby, które widziało się po raz pierwszy i często po raz ostatni. Dziesięciopiętrowy akademik z trzydziestoma pokojami na każdej kondygnacji naprawdę tworzył przedziwny ekosystem ludzi znających się mniej lub bardziej.

Krystian wzruszył ramionami.

- Nie myśl, że chce tu siedzieć. Piłem z kumplami na mieście z wiadomej przyczyny, a jak wracaliśmy 20 minut temu, napadli nas jacyś goście i wyszło na to, że uciekając, musieliśmy się rozdzielić. Za mną pobiegło dwóch, a za nimi trzech. Uratowała mnie ta zabawka. – odrzekł Krystian, rzucając w moją stronę pistolet, który wyjął z środkowej kieszeni kurtki. Z małymi problemami, ale szczęśliwie udało mi się go złapać.

- To prawdziwa broń? – spytałem z lekkim przerażeniem, obracając pistolet Krystiana w dłoniach, tak jak wcześniej jego telefon.

On tylko głośno się roześmiał.

- To atrapa Glocka 17. Na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia. Ale dużej krzywdy raczej nim nie zrobisz, bo to po prostu pistolet hukowy.

Odruchowo odetchnąłem, bo przez chwilę myślałem, że skoro kilka godzin temu skończyłem trzydzieści lat, los daje mi dosyć jasne sygnały, co mam teraz zrobić. Na szczęście odgoniłem wizję banalnego samobójstwa w trzydzieste urodziny i z wymuszonym uśmiechem oddałem pistolet.

- A co z twoimi kumplami? Udało im się uciec?

- Właśnie nie mam pojęcia. Nie mogę się do nich dodzwonić, więc pomyślałem, że poczekam na nich w akademiku, bo tutaj mieszkają, tylko nie znam ani numeru pokoju, ani nawet dokładnego piętra. Z tego co mówili, to chyba trzecie

albo czwarte, więc czekałem przy schodach, a teraz na chwilę wpadłem tutaj na papierosa. Myślałem, że o tej porze nikt nigdy tutaj już nie gotuje.

- Uwierz mi, że w akademiku słowo „nigdy” nie istnieje. A jak nazywają się ci twoi kumple, bo może ich kojarzę.

- Adam Dobrowolski i Kacper Sikora. Są na pierwszym roku budownictwa, więc wątpię, że ich znasz.

Faktycznie ich nie kojarzyłem. Przez chwilę chciałem nawet powiedzieć, że też jestem na pierwszym roku, tylko że architektury, ale mimowolnie ugryzłem się w język. Jakoś nie przychodziło mi łatwo mówienie obcym, że jestem na pierwszym roku studiów. Chociaż obcym jak obcym, już czekam na zaproszenie na zjazd absolwentów mojego liceum. Już widzę te rozmowy. „- Co robisz Miki? - A wiesz, jestem na pierwszym roku architektury. - O fajnie. Moja firma szuka właśnie praktykantów”.

A portier bez problemu wpuścił cię do akademika? - dopytałem Krystiana.

- Właśnie miałem szczęście. Gdy przyszedłem, to spał i kiedy zapukałem w szybę, to nawet nie otworzył oczu i wpuścił mnie do środka.

- No tak. Królik raczej nigdy nie będzie pracownikiem miesiąca. – rzekłem, po czym obaj wybuchnęliśmy głośnym śmiechem.

Nasza rozmowa toczyła się już w miarę luźnej atmosferze, więc postanowiłem przejść do tematu, który wydawał mi się być gwoździem programu.

- A tych śladów na twarzy to dorobiłeś się podczas swojej wielkiej ucieczki?

- Byłem dzisiaj u Julii i się z nią pokłóciłem.... Dosyć mocno. – dodał po dłuższej chwili Krystian.

- No jak ja miałem dziewczynę, to też czasami się kłóciłem na ostro, ale nigdy nie kończyło się to zabawą w stylu sado-maso.

Nie masz czego żałować.

- Za późno. Już jestem smutny.

- Nie żartuj sobie.... Tak jakoś wyszło. Dostałem trzy razy wałkiem od ciasta. – powiedział Krystian, lekko się czerwieniąc. Faktycznie nie był to jakiś wielki powód do dumy, bo trzeba przyznać, że jego nocne „Gotuj z Batmanem” wychodziło mu dużo lepiej niż „Gotuj razem ze swoją dziewczyną”. Nie chciałem już kontynuować tego niezręcznego tematu, ale też nie musiałem się jakoś specjalnie zastanawiać nad jego zmianą, bo nagle telefon Krystiana odezwał się utworem U2 – „Hold me, Thrill me, Kiss me, Kill me”, który pochodził z soundtracku filmu „Batman Forever”. Wszędzie ten Batman. Co za przedziwny zbieg okoliczności.

- To Julia. – powiedział Krystian, patrząc na ekran telefonu. – Dasz mi chwilę? – zapytał, a z jego wzroku można było wyraźnie wyczytać, że chce zostać sam.

- A będziesz co 5 minut przekładał mi frytki. – spytałem, patrząc na patelnię, na której właśnie zaczął wrzeć olej.

- Ok. Nie ma sprawy.

Szybko podałem Krystianowi łyżatkę, która leżała obok kuchenki.

- Wróć za około 15 minut, więc po tej rozmowie albo będziesz znowu Romeo dla swojej Julii, albo będziesz musiał dalej szukać swoich zaginionych kumpli. - Tak,

tak Miki raper to właśnie ja. Czy czołowi producenci w kraju mają zapisany mój numer? Uśmiechnąłem się w myślach z własnego słabego żartu, starając się nie zwracać uwagi na Krystiana, któremu dogadanie się ze swoją wkurzoną dziewczyną na pewno trochę zajmie, szybko wymknąłem się z kuchni.

Kiedy otworzyłem drzwi do pokoju, napotkałem lekko wkurzone spojrzenie Tołdiego.

- Czy nasza gwiazda smażenia frytek urządziła sobie nocne spotkanie z fanami, którzy zaraz po spotkaniu wszystko zjedli? – zapytał ironicznie, chyba specjalnie używając słowa „frytek”, by podkreślić brak patelni z frytkami w moim ręku.

- Powiedzmy. – odparłem, wzruszając ramionami i szybko streściłem to, co zdarzyło się w kuchni. Specjalnie mnie nie dziwiło, że mina Tołdiego wskazywała na coraz większe niedowierzanie z każdym kolejnym zdaniem.

- Mówię ci Miki, to jakiś psychol. – zaczął. - Niby tej rany na twarzy dorobił się od własnej dziewczyny uzbrojonej w wałek od ciasta?

- Sam nie wiem. Moja mama też jest bardzo podenerwowana, kiedy gotuje. Wtedy czasami wystarczy jakaś niegroźna sprzeczka i bach...

Tołdi z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Wzruszające. W takim razie nie zapraszaj mnie nigdy do siebie na obiad.

- Żadnego przedstawiania rodzicom? Już nie pamiętasz? - roześmiałem się odrobinę zbyt głośno.

- Naprawdę mnie uspokoiłeś. Najszersze podziękowania. Ale wracając do tematu, to on sprzedał ci jakieś bajki roku, bo jego historia nie trzyma się żadnej sensownej całości. Zresztą nie znam żadnego Adama Dobrowolskiego i Kacpra Sikory, którzy niby mieszkają w tym akademiku. A Tołdi przecież...

- ... zna wszystkich. - dokończyłem.

- Właśnie. Wygrałeś. W nagrodę możesz mi jutro postawić piwo. Ale wiesz, czego się teraz najbardziej boję?

- Czego? - uniosłem brwi.

- Że zostawiłeś go sam z moimi frytkami. Moim ostatnim jedzeniem. Ale w sumie wiesz co? - dodał Tołdi po krótkim zastanowieniu.

Kolejny raz uniosłem brwi.

- Psychole zanim cię zabiją, bywają całkiem milutcy, więc może usmaży te frytki, a dopiero po tym cię zabije. - tym razem Tołdi zaniósł się złowieszczym śmiechem, a mi tym razem pozostało tylko wzruszyć ramionami.

- Dobra. Lepiej powiedz, jaki masz pomysł na uratowanie mojego zaliczenia z kolokwium? - spytałem, czekając 5 sekund po ustaniu nikczemnego rechotu. Tak. Idealnie to nazwałem. „Nikczemny rechot”. Jeśli ktoś ma kapelę death – metalową może się zgłosić po prawa do nazwy. Zapraszam.

Tołdi nic nie powiedział, tylko podał mi około dziesięć kartek A4, które leżały za nim.

- Co to? Mechanika ogólna dla opornych? – spytałem, pobieżnie przeglądając kartki.

- Dla bardzo opornych. – rzekł Tołdi, jednocześnie się uśmiechając.

- Skąd to masz?

- Powiedzmy, że nieprzypadkowo jestem jednym z najlepszych studentów na tej uczelni. Umiem załatwić dużo rzeczy od ładnych dziewczyn ze starszych roczników. Także zacznij to czytać, ale nie zapomnij odebrać frytków od „Pana Psychola”. - Boże. Słowo „frytków” nie przestanie mnie prześladować do końca tygodnia.

Kiedy zabrałem się za czytanie notatek, czułem się jakbym czytał książkę do czarnej magii redagowaną przez dwóch autorów - Gandalfa i Saurona. Dwa sposoby rozwiązania każdego zadania przypominały coś w stylu: „Gandalf zrobił zadanie dobrze, ale Sauron nie zadaje się z Hobbitami, bo mają włosy na stopach, więc robi je inaczej”. I tak w kółko. Nie dość, że musiałem zrozumieć jeden sposób rozwiązania, to zaraz po nim czekał mnie drugi, który w ogóle nie przypominał pierwszego. Gdy w końcu zacząłem w miarę rozumieć drugi, orientowałem się, że nie pamiętam pierwszego. I tak w kolejne kółko. Kiedy zatrzymałem się na czwartej stronie, ze skupienia wyrwało mnie coś, czego nie można pomylić z niczym innym. I coś co na filmach brzmi dużo mniej przerażająco. Odgłos strzelającego pistoletu.

Rozdział 2

„Policja i akademik, czyli bezkonkurencyjna wygrana na najgorszą parę miesiąca”

Przez chwilę zastygliśmy bez ruchu, jakbyśmy zostali przyłapani na czymś złym (to znaczy zbyt dobrym dla nas, zbyt złym dla innych) i mimo że wiedzieliśmy, że trzeba jakoś zareagować, to przez kilka sekund nie byliśmy w stanie poruszyć jakiegokolwiek mięśniem. Oczywiście te kilka sekund dotyczyło tylko mnie i Tołdiego, ponieważ Profesor był już „zastygnięty” od dłuższego czasu. Pierwszy z tego niechcianego paraliżu wyswobodził się Tołdi.

- Może to petarda? – zapytał, ale jego mina wskazywała na całkowicie inny zestaw pytań.

- Jasne... - odrzekłem, zaraz po tym, jak też sam wyszedłem z paraliżu, chociaż nie wiem, czy nie chciałem pozostać w nim trochę dłużej. – Na pewno Święty Mikołaj odpalił petardy na naszym piętrze. – dodałem. – Bo wie, że w Sylwestra nie będzie mieć już siły na taką imprezkę. – Tym razem powiedziałem to trochę aż nazbyt ironicznie.

- Idziemy sprawdzić co się stało? – spytał Tołdi.

Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli bardzo chcesz.

- W sumie każdy powód jest dobry, żeby oderwać się od nauki. W dodatku masz już trzydzieści lat. To może ostatnia szansa by przeżyć coś ekscytującego.

- A co z twierdzeniem, że życie zaczyna się po czterdziestce?

- Powiedz mi, że w to wierzysz.

Obaj głośno się zaśmialiśmy, jednocześnie udając się w stronę drzwi. Korytarz wyglądał całkiem normalnie, jeśli przyjmiemy, że coś takiego jak korytarz w akademiku może wyglądać całkiem normalnie. Nie było tutaj żywej duszy, więc odgłos wystrzału potraktowaliśmy jako fałszywy alarm.

- Może przez to, że jesteśmy jeszcze trochę pijani, nasz wzrok się pogorszył, ale zmysł słuchu się wyostrzył. – powiedział Tołdi, szukając jakiegokolwiek w miarę logicznego wytłumaczenia.

- Powiedz mi, że w to wierzysz. – odparłem i kolejny raz głośno się zaśmialiśmy.

- Dobra, Miki. Chodź, odbierzemy chociaż te frytki, bo może przez to, że jesteśmy głodni, mamy jakieś halucynacje.

- Ta wersja podoba mi się dużo bardziej. – odpowiedziałem i szybko ruszyliśmy w stronę kuchni. Kiedy przekroczyliśmy jej próg, nasz paraliż sprzed kilku minut powrócił, tylko że razy trzy. Albo nawet cztery. Zresztą co ja mówię.

Powrócił razy 666, czyli zupełnie jakby sam Szatan zaprosił nas na romantyczną kolację we troje.

Na podłodze leżał Krystian z bardzo widocznym problemem. Z bardzo okrągłą dziurą w głowie. Czy naprawdę nigdy nie wspominałem, że jak byłem mały wolałem kwadraciki od kółek?

Chociaż tym razem trwało to trochę dłużej, udało nam się w końcu kolejny raz wyjść ze stanu zwanego „paraliż”. Tołdi cały czas przyglądał się na zmianę - to patelni z przypalającymi się frytkami, to głowie Krystiana z bonusową kropeczką. Najwyraźniej bardzo potrzebował jakiejś bramki numer trzy. Postanowiłem jednak przerwać ten konkurs i zdjąłem patelnię z kuchenki, a całą zawartość wysypałem do zlewu. Mimo to Tołdi chciał grać dalej i patelnię z frytkami zamienił na leżący obok prawej dłoni Krystiana pistolet.

- Nie wiem czy to kłamstwo czy niedomówienie... – zacząłem najspokojniej, jak umiałem. - Ale Krystian mi powiedział, że ten pistolet to atrapa Glocka 17, po prostu pistolet gazowy.

- To faktycznie lekkie niedomówienie. - odparł bez emocji Tołdi, wciąż wpatrując się w bardzo dobrą atrapę Glocka. Tak dobrą, że aż działającą.

- Dobra, ja dzwonię na policję. - powiedziałem, wybierając na telefonie 997. Po karetkę raczej nie było sensu, bo nie wydaje mi się, żeby w podręczniku o reanimacji był rozdział „Co robić, gdy ktoś ma dziurę w głowie?”. Miki – geniusz medycyny sądowej. Tak. To właśnie ja.

- Chyba potrzebuję browara. - wydukał Tołdi, przykładając przedramię do ust, pewnie po to, żeby powstrzymać wymioty. Najwyraźniej jego promile we krwi stwierdziły, że jest ich za mało, by przetrwać aktualną sytuację.

- Ale po dzisiejszej imprezie chyba nie mamy już żadnych piw w pokoju. - niemal westchnąłem.

- Mam skitrany czteropak za łóżkiem. - odparł beznamietnym głosem Tołdi. - Chcesz też?

- Jak mógłbym odmówić ? – odpowiedziałem, jednocześnie przyglądając się zwłokom Krystiana i wybierając numer policji, czyli numer na który nie powinno się dzwonić. Zwłaszcza na urodzinowym afterparty.

Zanim się dodzwoniłem, Tołdi zdążył już wrócić i wepchnął mi otwarte piwo do lewej dłoni. Słuchając kolejnego sygnału, wziąłem naprawdę porządnego łyka i w momencie, gdy go przełknąłem, odezwała się policyjna dyspozytorka.

- Policja, oddział Poznań, słucham. - odezwał się kobiecy głos dyspozytorki.

- Dobry wieczór albo już nawet dzień dobry. – zacząłem. – Chciałbym zgłosić samobójstwo. – dopowiedziałem po chwili, tę bardzo romantyczną końcówkę. Zdawałem sobie sprawę, że ton mojego głosu brzmi niepoważnie. I nie byłem pewny, czym to jest spowodowane. Wątpię, że alkoholem. Tołdi mimo że starał się zachować spokój, wyglądał na przerażonego i zszokowanego. Zapewne były to pierwsze zwłoki

samobójcy, jakie widział. Moje zresztą też. Być może to przez mój wiek? W ciągu trzydziestu lat byłem już świadkiem tylu gównianych sytuacji, że zwłoki samobójcy, którego poznałem dosłownie kilka minut temu, nie robiły na mnie chyba takiego wrażenia jak powinny. Przez głowę przebiegła mi też myśl, co tu się stanie za kilkanaście minut, gdy zejdzie się tutaj pół mieszkańców akademika. Oczywiście nie sprowadzi ich tutaj odgłos wystrzału pistoletu. Większość osób zapewne się nawet nie obudzi. Gdy chcesz normalnie wysypiać się w tym miejscu, naprawdę zwiększasz tolerancję na przeróżne odgłosy. Disco-polo o głośności 120 decybeli z podkreśnionym do granic możliwości basem dla mieszkańca akademika brzmi jak ledwo słyszalny szum morskiej bryzy. Albo drapanie po plecach.

- Na pewno nie robi pan sobie żartów? Naprawdę mamy wystarczającą liczbę takich telefonów od pijanych nastolatków. - głos dyspozytorki był taki, jak powinien. Oszły i stanowczy. Coś jak znienawidzona ciocia na Wigilii podczas dzielenia się opłatkiem. Naprawdę zaczynałem czekać, aż zacznie mi życzyć samych szóstek w szkole i bycia grzecznym dla rodziców.

- Naprawdę. To niestety nie jest żart. - powiedziałem równie oschle i stanowczo, wypuszczając powoli powietrze. - Właśnie patrzę na zwłoki osoby w akademikowej kuchni, który ma ranę postrzałową w głowie. A obok jednej ręki leży pistolet.

Dodałem jeszcze, że z tego co mi wiadomo, niedawno rzuciła go dziewczyna.

- Pana dane i adres?

Westchnąłem w myślach. Nie byłem specjalnym fanem podawania swoich personaliów policji, bo mając trzydzieści lat, już doskonale zdawałem sobie sprawę, że będą tam widnieć do końca mojego życia.

- Mikołaj Zarzeczny, mieszkam tutaj w akademiku. To jest dom studencki numer 5 przy ulicy św. Rocha 11a. Kuchnia na trzecim piętrze.

Dyspozytorka spytała jeszcze o kilka rzeczy, czy na pewno osoba nie żyje, czy sprawdzałem puls, czy znałem ofiarę. Typowe pytania przy takich zgłoszeniach, żeby upewnić się, że to na pewno nie są żarty. Zapewne takie telefony były plagą wszystkich telefonów alarmowych, zaczynając od pytań o wybór pomiędzy apapem a ibupromem dzwoniących na karetkę pogotowia, a kończąc na zgłoszeniach policji kradzieży pięciu złotych przez kolegę z klasy.

- Dobrze panie Mikołaju. Niech Pan czeka przy tej kuchni, a ja wyślę patrol.

Usiedliśmy z Tołdim na korytarzu, opierając się plecami o ścianę i przez chwilę nie odzywaliśmy się do siebie, tylko powoli piliśmy piwo. Dopiero teraz zauważyłem, że trzęsą mi się ręce, a piwo z powodu nagromadzenia nerwów, smakuje jak woda. Co za całkowite marnotrawstwo.

- Strzeliłbyś byś sobie w łeb przez dziewczynę? – spytałem nagle Tołdiego, bo denerwowała mnie już ta niezręczna cisza, przerywana tylko przez kolejne pociągane łyki najpopularniejszego alkoholu świata.

- Tylko przez Ciebie Miki. – odpowiedział z uśmiechem Tołdi, odstawiając na podłogę pustą butelkę, jednocześnie wyciągając z foliowego czteropaków kolejne piwo.

- To było szczere pytanie. – naciskałem.
- Wiesz co powiedział mi kiedyś dziadek? Jeśli rzuci Cię dziewczyna, musisz dokonać takich rzeczy, żeby żałowała swojej decyzji do końca życia. Uwierz, że raczej samobójstwo nie jest jakimś wielkim życiowym sukcesem.

- Fajnego masz dziadka.

- No raczej. Za trzy tygodnie bierze ślub z żoną numer pięć. Ciekawe kogo tym razem wynalazł ten stary playboy. No ale nieważne. Chociaż ważne. Będę mieć kolejną babcię, która będzie mogła mnie wspomagać finansowo. Czekolady z nadzieniem stuzłotowym i te sprawy. Ale wiesz co jest w tym wszystkim najgorsze?

- Że ta twoja babcia numer pięć może być w twoim wieku?

- Naprawdę jesteś zabawny Miki. Ale teraz chodzi mi o coś innego. Cały czas mam przeczucie, że ktoś pomógł temu Krystianowi się zabić. Nie uważasz, że to nie dziwne, że nie zjadł tych naszych frytek. Gdybym ja był na jego miejscu, zjadłbym całą patelnię frytek, w ogóle się nie przejmując, że jem w nocy najbardziej niezdrowe żarcie świata. No może jedno z najbardziej niezdrowych. Rozumiesz? Takie frytki light.

Nie wiem, czy Tołdi miał rację, ale widać było, że próbuje poradzić sobie z tą sytuacją swoim poczuciem humoru. Wychodziło mu to czasem przyzwoicie, czasem trochę mniej.

- Jesteś teraz głodny? – spytałem, unosząc jedynie prawą brew.

- Tak szczerze, to trochę straciłem apetyt.

- No właśnie. On pewnie też nie myślał o jedzeniu, patrząc prosto w lufę.

Tołdi nie zdążył mi już odpowiedzieć, bo usłyszeliśmy dość szybkie kroki na schodach, które po chwili zamieniły się w dwóch policjantów. Była to może niezbyt miła metamorfoza, lecz tym razem mnie ucieszyła, bo naprawdę chciałem już zakończyć mój debiut znajdowania samobójcy w kuchni. Policjanci nie mieli na sobie mundurów, lecz z połączenia ich sposobu chodzenia i pewności siebie można było wywnioskować, że to albo mafia, albo policja. Niepotrzebne skreślić, jak to mówią w urzędach.

Zanim pokonali odległość dzielącą schody od kuchni, zdążyłem się im całkiem dokładnie przyjrzeć. Obaj policjanci znacznie różnili się od siebie. Starszy z nich, wyglądający na około 50 lat, miał wyraźną nadwagę, co znacząco odbijało się na jego twarzy. Była ona niemal idealnie okrągła i gdybym miał obliczyć jej powierzchnię, wzór na pole koła, czyli πr^2 w zupełności by wystarczył. Natomiast drugi z policjantów prezentował się na około trzydziestkę, czyli wszystko wskazywało na to, że oprócz 50-letniego pączka, będzie mnie przesłuchiwać także mój rówieśnik. Uroczę urodziny.

- To wy znaleźliście tego samobójcę? – spytał młodszy, patrząc bardziej na mnie niż na Tołdiego, który właśnie brał najdłuższego łyka piwa na świecie, żeby okazać jak bardzo kocha policję i jak bardzo chce mu się z nimi rozmawiać.

- Tak. Leży w kuchni za tymi drzwiami. – odpowiedziałem, pukając pustą butelką w przymknięte drzwi kuchni.

- Znaliście go? – kontynuował swoje pytania młodszy z policjantów, patrząc na mnie, całkowicie ignorując Tołdiego.

- Nie znałem go, ale rozmawiałem z nim chwilę w kuchni. Maksymalnie jakieś 10 minut. - odparłem, a policjanci wymienili porozumiewawcze spojrzenie, które nie wróżyło nic dobrego.

- Jestem detektyw Leon Muszyński, a to mój partner Krzysztof Kurtyka. – powiedział policjant rówieśnik, wskazując na swojego partnera.

- Mikołaj Zarzeczny, a to mój współlokator Mateusz Łukasik. – odpowiedziałem, trochę przedrzeźniając Leona, ponieważ wykonałem identyczny ruch ręki, kiedy wskazywałem na Tołdiego.

- Dobra. W takim razie trzeba zobaczyć naszą gwiazdę wieczoru, a później wezwać techników i prokuratora. – rzekł Leon, a następnie wszedł do kuchni. Krzysztof Kurtyka nie podążył za nim, tylko cały czas świdrował nas wzrokiem. Zapewne w jego osobistym podziale ludzi znajdowaliśmy się na samym dole tej listy, chociaż nietrzeźwi studenci w akademiku o 6 rano nie byli chyba ulubieńcami kogokolwiek. Niezręczna cisza nie trwała jednak długo, ponieważ Leon po krótkiej chwili wrócił do nas i wyciągnął papierosa.

- Trzeci trup w tym tygodniu. Jak ja mam przestać jarać? – powiedział bardziej do siebie niż do nas, a następnie odpalił papierosa zdezelowaną zapalniczką, którą wyjął z kieszeni.

- Wezwij techników i wóz od zwłok. – zwrócił się po chwili do Krzysztofa, który nadal był zajęty obserwowaniem mnie i Tołdiego z wyraźną nienawiścią w oczach. Jednak sądząc po jego gabarytach być może przerwaliśmy mu konsumpcję porannego kebaba. Tak. Takich zbrodni się nie wybaczają. - Technicy i tak muszą sprawdzić, czy to nie zabójstwo upozorowane na samobójstwo. - dodał Leon. - Pieprzone kryminały tworzą pieprzone procedury. Nam powiedziano, że zgłosiliście samobójcę, którego rzuciła dziewczyna. To prawda? – zapytał, tym razem zwracając się do mnie, a następnie zaciągnął się już prawie samym filtrem.

- Tak mi powiedział Krystian. Później zadzwoniła do niego ta świeżo-była dziewczyna, to wyszedłem, żeby mu nie przeszkadzać.

- A jak go znalazłeś to nie trząśłeś nim za bardzo? Nie chce, żeby przy sekcji zwłok jakiś syf wyszedł.

Już chciałem powiedzieć, że od razu się przytuliłem i leżałem tak 10 minut, ale wydusiłem z siebie tylko ironiczne „jasne”. Naprawdę mogłem jeszcze dodać, że podziwiałem tylko z daleka.

- Powiedz mi jeszcze, skąd on ma te siniaki na twarzy?

Uniosłem brwi. Leon musiał mieć naprawdę duże doświadczenie ze zwłokami, bo zdołał dostrzec te ślady przysłonięte w dużej części przez zaschniętą krew.

- Stwierdził, że dziewczyna uderzyła go wałkiem od ciasta. - tak, moja odpowiedź brzmiała właśnie tak głupio, jak może się każdemu wydawać.

- Uderzyła? - głos Leona był tak zdziwiony, że gdyby nadal miał w ustach papierosa, ten leżałby już dawno na ziemi.

- Parę razy uderzyła. - mój głos był nadal... jakby to ująć - głupi.

- Ok, sprawdzimy to. - rzekł ze zrezygnowaniem Leon. Widać było, że niezbyt wierzy w tę historię. Pozostało mi tylko wzruszyć ramionami.

- Dobra. – dodał Leon. - Opowiesz mi to wszystko na komendzie, bo i tak trzeba wyczarować jakiś raport.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- Czy ta część z komendą jest na pewno konieczna? Wiem, że może nie brzmi to przekonująco o tej godzinie, ale mam trochę rzeczy do zrobienia.

- Masz jeszcze kilka browarów do wypicia? – wyraźnie zakpił Leon, sięgając po kolejnego papierosa.

- Mam kolokwium za niecałe trzy godziny. I muszę się wszystkiego nauczyć w..... właśnie te niecałe trzy godziny.

Leon tak szeroko się uśmiechnął, a papieros, który miał w ustach, powinien już dawno z nich wypaść, jednak jakaś nieznana siła cały utrzymywała przy dolnej wardze. Nałogowi palacze to prawdziwi magicy.

- Dam ci takie zwolnienie, że studenci przed egzaminem by się o nie zabili. Pasuje?

- A mam inne wyjście?

- Nie. Właśnie dlatego pytam. Pasuje?

- Pasuje, ale przyrzekam, że nigdy już nie będę rozmawiać z nikim w kuchni po północy.

Leon głośno się zaśmiał, a ten moment rozluźnienia wykorzystał Tołdi, który spytał się, czy jest nadal potrzebny. Po uzyskaniu informacji, że nie, bo tylko ja wystarczę na komendzie, życzył mi dobrej imprezy (żartowniś). Następnie pobiegł truchtem w stronę pokoju, robiąc co jakiś czas krótkie przystanki na łyk piwa. Naprawdę nie wiem, jak można go nie uwielbiać. Po chwili stwierdziłem, że sam też muszę wrócić do pokoju, bo mój strój składający się z czarnej koszulki z logo Metallici i bokserek z bohaterami South Park średnio nadawały się na aktualne grudniowe powietrze. Leon kazał mi się streszczać, a później powiedział dokładnie to samo technikom przez telefon. Trochę nieumiejętnie ominąłem Krzysztofa, który chyba naprawdę nas nienawidził. Za tego przerwane go. Jestem pewny.

Kiedy dotarłem do końca korytarza, odwróciłem się na chwilę, bo obok kuchni właśnie pojawili się technicy. Zaczęli rozwijać wokół drzwi kuchni tę taśmę znaną z filmów sensacyjnych, żeby nikt nie wkraczał do strefy miejsca zbrodni. Trzeba będzie ją później ukraść i użyć przed jakimś naprawdę nudnym wykładem. Oczywiście wokół wejścia do kuchni zaczęli też się schodzić inni mieszkańcy akademika, bo tak jak przewidywałem, nikt nie przejął się odgłosem strzelającego pistoletu, ale niebieskie światła radiowozu odbijające się w oszronionych szybach okien miały bardzo przyciągającą moc.

Gdy wszedłem do pokoju, Tołdi siedział na swoim łóżku i jadł pistacje, popijając je swoim ostatnim, trzecim piwem. Chociaż kto to wie, ile on ma tych czteropaków za łóżkiem.

- Na czarną godzinę zostawiłem. Dopiero mi się przypomniało. – rzekł, gdy trochę zdziwionym wzrokiem obdarowałem jego prawie poranny posiłek.

- Nie mogłeś chcieć tych pistacji zamiast frytek? To by trochę zmieniło moje plany na dzisiejszy poranek.

- Chciałem coś na ciepło.

- No i dostałeś kogoś na zimno.

Jednocześnie wzruszyliśmy ramionami, co mnie trochę rozbawiło, ale stwierdziłem, że ranek na komendzie po imprezie urodzinowej nie brzmi w sumie tak źle. Oczywiście gdyby wyciąć z tego wszystkiego samobójcę z kuchni.

Ubrałem się jak najszybciej i kiedy już miałem się odwrócić w stronę drzwi, kątem oka dostrzegłem notatki z mechaniki ogólnej, leżące na moim łóżku. Zdałem sobie sprawę, że w taki oto sposób moje zaliczenie z kolokwium poszło... na dwa . Chociaż inaczej mogłem dokończyć to zdanie.

Wziąłem jeszcze od Tołdiego kilka pistacji na drogę, a następnie nacisnąłem klamkę, żeby pójść do policjantów i pojechać z nimi na komendę.

No dobra. Czy mi się tylko wydaje, czy to nie brzmi trochę dziwnie, jak na studenta? Bo Clint Eastwood nigdy by nie poszedł na coś takiego.

Rozdział 3

„Komenda policyjna, czyli moje osobiste zwiedzanie Piekła.”

Leon stał przy schodach i kiedy mnie zobaczył, machnął do mnie ręką, żebym poszedł za nim, a sam ruszył na dół. Nie zauważyłem nigdzie Krzysztofa, ale pewnie budka z fast-foodem po drugiej stronie ulicy nie potrzebowała zbytniego marketingu, by go zainteresować. Machnięcie policjanta też niestety nie potrzebuje zbytniego marketingu, więc przyspieszyłem kroku i po krótkiej chwili byłem już na dole. W portierni Królik oglądał jakiś serial w ogóle nie zwracając uwagi na nic dookoła. No tak. Ludzie giną, ale serial trzeba obejrzeć. Każdy chyba zna to z własnego doświadczenia, chociaż może w nie w tak drastyczno-dramatycznej wersji.

Powietrze na dworze było dosyć zimne i na tyle rześkie, żebym nie mógł pomylić tych dość nieprzyjemnych, ale niestety bardzo rzeczywistych zdarzeń sprzed niecałej godziny z jakimś koszmarnym snem, z którego miałbym się za chwilę obudzić. Była już prawie 6:30, więc słońce zaczynało się nieśmiało wyłaniać zza horyzontu i prawdopodobnie chciało rozpocząć kolejny dzień. Niestety dla mnie poprzedni się jeszcze nie skończył i musiało minąć trochę czasu, zanim miało do tego dojść.

Leon stał obok srebrno-niebieskiego radiowozu, którym była Kia Ceed i chcąc być wiernym swojemu nałogowi, palił kolejnego papierosa. Po chwili z prawej strony nadbiegł zdyszany Krzysztof z ogromną, mimo że już mocno nadgryzioną, zapiekanką, która miała na sobie chyba wszystkie możliwe dodatki. Zabawne. Krzysztof przekroczył dietę 1000 kcal jeszcze przed siódmą rano. Ale jak to mówią, Bóg bardzo niesprawiedliwie rozdaje talenty.

Kiedy stanąłem obok samochodu, Leon otworzył tylne drzwi i z gestem niezbyt wytwornego lokaja zaprosił mnie do środka.

- Rozgość się. – rzekł z zbyt dużą nutką ironii, dogaszając jednocześnie końcówkę papierosa na dachu samochodu.

- Chciałbym powiedzieć „nie trzeba”, ale to chyba nic nie zmieni. – odparłem, cały czas stojąc przed otwartymi drzwiami. Podróż na komendę wciąż była na samym końcu moich świątecznych marzeń.

- Masz rację. To nic nie zmieni, ale nie przejmuj się. Też nie lubię tym jeździć.

- Powinieneś dostać jakiś order z zakresu pocieszania innych.

Leon szeroko się uśmiechnął.

- Szczerze to mało mnie to obchodzi. Chce mi się spać, a czeka nas jeszcze trochę pracy przy spisywaniu raportu. Więc albo wchodzisz do środka, albo będę musiał zapalić kolejnego papierosa, co bardzo mnie zdenerwuje, bo właśnie rzucam.

Stwierdziłem, że faktycznie nie ma co przedłużać, bo według mojej mamy, ludzie rzucający papierosy to najgroźniejsi ludzie na świecie. Dlatego jeśli było to w ogóle możliwe, próbowałem się rozgościć na tylnym siedzeniu. Wiem, że może zabrzmiało to trochę jak z taniego filmu dla dorosłych.

Podróż na komendę odbyła się w praktycznie absolutnej ciszy. Zupełnie jak syndrom dziesiątej randki, ciągle bez całowania. Tylko co jakiś czas dało się usłyszeć jakieś wezwania przez radio, lecz za każdym razem przejmował to jakiś inny patrol.

Z nudów spoglądałem przez okno, za którym rozpościerał się śnieżno-biały krajobraz Poznania, a całkiem już mocne promienie słońca odbijały się od śniegu, trochę mnie oślepiając. Od razu skojarzył mi się z tym tytuł utworu Deftones, „My Own Summer”. Jedynym problemem było to, że był niemal początek zimy.

Gdy dotarliśmy na miejsce, moim oczom ukazał się masywny, trójkondygnacyjny budynek, a widniejąca na nim tablica - „Komisariat Policji, Poznań Stare Miasto” raczej nie zachęcała do robienia sobie przed nią turystycznych zdjęć.

Po wyjściu z samochodu, musieliśmy razem z Leonem poczekać na Krzysztofa, którego wydostanie się z auta wiązało się z serią chyba czterdziestu ruchów, które musiały być idealnie zgrane i skoordynowane w czasie. Nieśmiało przewiduję, że następny złoty medal z gimnastyki artystycznej na olimpiadzie należy do niego.

Hol komendy miał dla mnie tak przytłaczający klimat, że na początku zrobiło mi się nawet trochę duszno. Jego wystrój zdecydowanie zatrzymał się w czasie przed 1989-ym i od razu można było zauważyć, że budynek potrzebuje natychmiastowego remontu. Obdrapane ściany i meble pamiętające głęboki komunizm być może miały powodować strach pośród przesłuchiowanych przestępców, jednak u zwyczajnych świadków takich jak ja, wzbudzały tylko niepokój i lekkie odrętwienie.

- Chcesz kawy? – spytał nagle Leon, wyrывая mnie z pseudo architektonicznych rozważań.

- Może być. Byle z mlekiem. – odparłem, starając się już więcej nie zwracać uwagi na wystrój wnętrza.

Podążając za Leonem, minęliśmy pseudo recepcję, a następnie schody prowadzące do kilku cel, gdzie doba hotelowa trwała zazwyczaj 48 godzin z możliwością przedłużenia do 72-óch. Później odbiliśmy w prawo i po pokonaniu długiego i wąskiego korytarza znaleźliśmy się w małym, ciemnym pokoju, który w całym swoim życiu wchłonął zdecydowanie za dużo papierosowego dymu.

- Usiądź tutaj. Ja zaraz przyniosę kawę. – rzekł Leon, wskazując jedno z dwóch krzeseł, które były tak zniszczone, że gdybym miał wybrać te w gorszym stanie, nie mógłbym się zdecydować. Leon zanim wyszedł, włączył jeszcze leżące na stole laptopa, którego głośno chodzący wentylator, był chyba jedyną rzeczą, która tworzyła jakikolwiek ruch powietrza w tym pomieszczeniu.

Wziąłem głębszy wdech, lecz było to wręcz równoważne z zaciąganiem papierosem, ponieważ panowała tutaj mała, papierosowa mgła. Dodając do tego nadchodzącą kawę, czekało mnie sławne połączenie „kawa + papieros”, czyli wszystko zaczynało się prawie tak jak w filmach. Nie wiem dlaczego, ale miałem przeczucie, że będę musiał jeszcze trochę poczekać do radosnego happy-endu.

Po kilku minutach wrócił Leon, trzymając dwa duże kubki. Oba były tak mocno sfatygowane, że nie byłem w stanie określić, jakie grafiki znajdowały się na ich zewnętrznej stronie. Dobrze, że wewnątrz było na razie wypełnione kawą, bo mogę się tylko domyślać, jak się prezentowało.

Po kilku głębszych łykach może nie czułem się jak nowonarodzony, wciąż czułem ostatki alkoholu leniwie przepływające przez moje żyły, ale bez wątpienia mój pasek życia zwiększył się o kilka procent.

- No dobra. Zaczynamy, bo w końcu muszę wrócić do domu. – rzekł Leon, rozprostowując palce na klawiaturze komputera. W jakieś 15 minut opowiedziałem mu zdarzenia zeszłej nocy, starając się najlepiej wszystko opisać i nie pomijać żadnych istotnych faktów. Leon zapisywał wszystkie moje słowa, nie zadając na razie żadnych pytań, jakby nie chciał wybijać mnie z rytmu, który i tak był już dosyć połamany.

- I ty na pewno nigdy wcześniej nie widziałeś tego Krystiana? – zapytał Leon, dopijając kawę w swoim kubku, który tak jak się spodziewałem, od wewnętrznej strony potrzebował jakiegoś środka do odrdzewiania rur. Zwrot „mocna kawka” natychmiast nabral nowego znaczenia.

- Nie mignął ci ten Krystian nigdy na korytarzu? – kontynuował Leon. – Na uczelni, mieście, gdziekolwiek?

- Nie. Dzisiaj w nocy widziałem go pierwszy raz. Pierwszy i ostatni, jak się okazało.

- Faktycznie wasza znajomość nie należała do najdłuższych. - Leon głośno się roześmiał, jednocześnie się przeciągając i ziewając, co wytworzyło całkiem zabawny odgłos. Następnie z powrotem nachylił się nad komputerem i zaczął na głos czytać moje zeznania. Poczułem się niemal jak gwiazda, która autoryzuje swój wywiad.

- Podpiszesz to? – spytał, wyglądając już na naprawdę zmęczonego. Skinąłem głową, że się zgadzam, bo to co mi przeczytał, nie różniło się zbyt od tego, co powiedziałem kilka minut wcześniej.

- Dobra, daj swój dowód osobisty, spiszę dane, złożysz autograf i pójdziemy do domu.

Zacząłem grzebać w portfelu i po krótkich poszukiwaniach wyciągnąłem swój dowód, a następnie podałem go Leonowi. Patrzył na niego przez kilka sekund, a po chwili z niedowierzaniem zapytał.

- Ty chcesz mi powiedzieć, że jesteśmy rówieśnikami? I że ja pracuję w policji, a ty mieszkasz w akademiku? Powiedz mi, gdzie na tym świecie została jeszcze jakaś sprawiedliwość?

Wzruszyłem ramionami i w skrócie opowiedziałem mu o mojej dziwnej sytuacji bycia studentem pierwszego roku w wieku trzydziestu lat, chociaż już trochę zaczęła mnie irytować każdorazowa konieczność tłumaczenia się z tego.

Po wprowadzenia wszystkich danych do komputera, po mojej lewej stronie zaczęła trzeszczeć drukarka, która po około minucie wyrzuciła z siebie trzy gęsto zapisane kartki A4. Byłem trochę zawiedziony, że nie ma żadnej mojej fotki, no bo co to za wywiad z gwiazdą bez żadnego zdjęcia? Już miałem pod tym wszystkim złożyć swój podpis, bo przeboleiałem jakoś ten brak zdjęcia, gdy telefon Leona odezwał się tanią melodyjką midi.

- Zaraz będę. – powiedział Leon, a następnie odwrócił się w moją stronę. – Gruby... To znaczy Krzysztof dzwonił i podobno ma dla mnie coś ciekawego. Zaraz będę z powrotem.

Westchnąłem tylko, bo myślałem, że zaraz będę mógł sobie pójść, a przerwały to jakieś policyjne ciekawostki. Gdy po kilku minutach Leon wrócił, łatwo można było stwierdzić, że te policyjne ciekawostki znacznie pogorszyły jego humor. Nagle rzucił w moją stronę plastikowy przedmiot, który w trakcie swojego krótkiego lotu skojarzył mi się z kartą kredytową, jednak gdy wylądował na stole, okazał się zwykłym dowodem osobistym. Zwykłym, bo pieniędzy tym się nie wypłaci, czyli absolutnych brak jakichkolwiek supermocy.

Na zdjęciu od razu rozpoznałem Krystiana. Miał może trochę inną fryzurę, ale bez wątplenia był to Krystian. Zresztą każdy na zdjęciu w dowodzie ma „trochę inną” fryzurę. Gdy przesunąłem wzrok odrobinę w prawo, w miejscu gdzie znajduje się imię i nazwisko, litery układały się w napis „Alan Świderski”.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w plastikowy kartonik, próbując się skoncentrować i zrozumieć o co w tym wszystkim chodzi. Przecież imienia Alan nie można pomylić z imieniem Krystian. Jest między nimi dużo większa różnica, niż pomiędzy smakiem Pepsi, a Coca-Coli. Chociaż wiem, że dla niektórych to różnica warta życia i śmierci.

- Jest jeszcze coś. - kamiennym głosem odezwał się Leon. Po tych słowach wyjął z teczki, która dopiero co teraz zauważyłem, jedną kartkę A4.

- To bardzo raport z sekcji naszego Krystiana vel Alana, dosłownie sprzed kilku minut. Patolog stwierdził, że zgon nastąpił około tej godziny, kiedy zadzwoniłeś na policję, czyli wszystko prawie by się zgadzało, oprócz tego, że zgon był spowodowany uderzeniem tępym przedmiotem w głowę, a nie strzałem... w tę samą głowę. Podobno po tej stronie, gdzie była rana, czaszka była tak dziwnie strzaskana, że ostre kawałki wbiły się w mózg. Na pierwszy rzut oka nie było tego widać, bo nasz pseudo-samobójca miał dosyć długie włosy.

- Ale chodzi ci teraz o to uderzenie wałkiem przez Julię?

- Ty tak twierdzisz.

- To znaczy?

- Wiesz, że technicy zdążyli już sprawdzić telefon Krystiana-Alana-nie-wiadomo-kogo? I wiesz co wyszło?

- Co takiego?

- Że nie mieli czego sprawdzać. Przy tym Alanie, ani w kuchni nie znaleziono żadnego telefonu.

Lekko zakręciło mi się w głowie. Zrozumiałem do czego zmierza Leon. Moje zeznania pękały od bezsensu niczym za mocno napompowany urodzinowy balon przez pijanego wujka. Uderzenie wałkiem w głowę przez swoją dziewczynę. Naprawdę? Nawet średnio rozgarnięty przedszkolak wymyśliłby coś lepszego. Jakieś bajeczki o esemesach od dziewczyny i rana na głowie, która później dziwnym trafem okazuje się śmiertelna. Telefon oczywiście mógł ktoś ukraść, lecz chyba istnieje choćby jakiś minimalny złodziejski kodeks, mówiący o tym, że zmarłych się nie okrada. No chyba że jest się sprawcą zostania zmarłym tego właśnie zmarłego, a w telefonie znajduje się kilka esemesów, które mogłyby troszkę przyspieszyć śledztwo.

Zmrużyłem oczy. Było mi na przemian gorąco i zimno. Moje zeznania nie trzymały się teraz logicznej całości, mimo że były prawdziwe.

- To teraz jestem niby jednym z podejrzanych? – zapytałem podenerwowanym głosem.

- Nie jesteś jednym z podejrzanych. Jesteś jedynym podejrzanym. Bo wiesz co jest w tym wszystkim najlepsze? - Leon brzmiał na równie zdenerwowanego, ale nic już nie odpowiedziałem, tylko bardziej zmrużyłem oczy.

- Na broni z której zeszlifowano numer seryjny, znaleziono tylko jeden typ odcisków. Ale nie należą one do Alana. Skoncentruj się chwilę i pomyśl, kogo mogą być.

Momentalnie zobaczyłem w głowie projekcję w zwolnionym tempie. Alan rzucający mi pistolet. To znaczy wtedy to była jeszcze atrapa pistoletu i koleś nazywał się Krystian. Następna klatka, kiedy obracam pistolet w dłoniach. Później szybkie przewinięcie do momentu, kiedy powiedziałem: „Palisz w rękawiczkach, żeby mama nie wyczuła?”

Spojrzałem na swoje opuszki palców, których linie papilarne były zapewne aktualnie odbite na broni, która zapewniła Alanowi dziurę w głowę, a która to miała świadczyć o rzekomym samobójstwie. Czyli według policji jeśli to ja byłem odpowiedzialny za upozorowanie samobójstwa, to zapewne miałem też udział w uderzeniu tępym narzędziem w głowę, co spowodowało śmierć Alana.

Zmrużyłem oczy tak mocno, że prawie je zamknąłem, a następnie przełknąłem ślinę, która chyba nigdy nie była taka sucha. Zupełnie nie tak wyobrażałem sobie trzydzieste urodziny.